

Dariusz Pawlicki

Wypominki

*Nie korek mnie interesuje,
ale fala, która go niesie.*

Paul Valéry

Dbanie o pamięć o zmarłych, przypomnienie ich, jest pięknym i bardzo starym obyczajem. A przy tym, co będę starał się wykazać, jak najbardziej wskazanym i – w co wierzę – potrzebnym. No bo już bardzo dawno temu wyrażano coś więcej niż nadzieję, było to niekiedy wręcz przekonanie, że człowiek po swej śmierci tak długo jakby istnieje/żyje, jak długo trwa o nim pamięć. Stąd np. wypowiedziana z nadzieją, przez rzymskiego poetę Horacego formuła: nie całkiem umrę (*Non omnis moriar*). I w jego przypadku tak się rzeczywiście stało. Z tym, że w rodzinach tzw. zwykłych śmiertelników, gdy przeminie kilka kolejnych pokoleń, przodkowie z reguły pograżają się w mrokach zapomnienia. W przypadku osób znanych – nie mam oczywiście na myśli sław efemerycznych – nie musi tak być. I bardzo często tak nie jest. Jeśli chodzi np. o pisarza, wznowienie jednej z jego książek, będzie takim przypomnieniem. A każdorazowe wypowiedzenie jego imienia i nazwiska będzie rodzajem wypominków; nawiązaniem, świadomym bądź nie, do modlitwy odmawianej „w kościele za dusze zmarłych, których wymienia się z imienia lub z imienia i nazwiska” (*Słownik języka polskiego*, Warszawa 1979). Gdy do takiej publikacji nie dojdzie, choćby ze względów ekonomicznych, okazją do przypomnienia może być, krótsza lub dłuższa, wzmianka w tomie historii literatury, do której przynależała, albo w tekście wspomnieniowym dotyczącym środowiska, które współtworzył. Ale co z pozostałymi zmarłymi, którzy stanowią przygniatającą większość, co z Nimi? Na co Oni mogą liczyć, kiedy kolejni noszący ich nazwisko, albo powiązani z nimi w inny sposób, nie będą o nich pamiętać? Cóż... Nadzieją będą jeszcze ich groby. Jeśli te będą oczywiście istnieć (mówiąc wprost: jeśli zostaną wniesione stosowne opłaty przez tych, którzy będą czuć potrzebę ich zachowania). A jeśli, na szczęście, tak, to czy napisy na nagrobkach będą choćby w miarę czytelne? Gdy tak będzie, a Ktoś przechodzący obok, nie nazbyt szybkim krokiem, z najprzeróżniejszych powodów zerknie w tę właśnie stronę, może przeczyta (oby na głos!) imię i nazwisko zmarłego. Nie jest ważne czy skomentuje przedział czasowy wyznaczony przez daty roczne narodzin i śmierci. Rzecz bowiem w tym, aby wypowiedział skrócone personalia umieszczone na nagrobku; aby „udostępnił” je na chwilę dookólnemu światu. Przerwywając tym samym (bardzo prawdopodobnie) milczenie na temat tego, do

kogo owe imię i nazwisko kiedyś przynależały; wyróżniały spośród innych.

Zresztą także w kwestii miejsca pochówku, nie ma w tym jednak niczego zaskakującego, osoby znane są uprzywilejowane. Gdyby rodzina o nich „zapomniała”, to, żeby pozostać już przy ludziach pióra, miłośnicy ich twórczości mogliby ogłosić zbiórkę funduszy mającą na celu nie tylko opłacenie na sto najbliższych lat miejsca ostatniego spoczynku, ale i odrestaurowanie nagrobka. Nie ma co, i w tej sprawie biedakowi wiatr zawsze wieje w oczy. Wszyscy oni, a jest ich przygniatająca i ciągle rosnąca większość, na takie pamiętanie/wsparcie nie mogą liczyć. Prędzej czy później, najczęściej prędzej, staną się bezimienni, tak jak wcześniej stali się niemi.



Fot. Dariusz Pawlicki

Eschatologia (chrześcijańska) daje w tej kwestii nadzieję (lepiej jednak wierzyć w obiecywaną zmianę, niż mieć co do niej Wyłącznie nadzieję). Zresztą nie tylko w tej, gdyż mówi nie tylko o przywróceniu pamięci, ale przede wszystkim o przywróceniu do życia. Mając na uwadze ową nadzieję, w mym eseju będę jednak nadal, ale nie wyłącznie, zajmował się sytuacją w jakiej, bardzo często od tysiącleci, znajdują się nieprzeliczalne rzesze bezimiennych – zdane na łaskę i niełaskę następujących po nich pokoleń. Bo to ich przedstawiciele nie znają w ogromnej większości ich imion i nazwisk. Ktoś jednak zna je wszystkie. Na szczęście. W Nim jest nadzieja. Także dla tych, którzy tak są zapatrzeni w teraźniejszość, że nie wierzą w nic, co miałyby mieć miejsce po ich śmierci.

W Starym i Nowym Testamencie nie ma słowa, które mówiłoby o wpływie żywych na los zmarłych. Wiara w tę możliwość pojawiła się w chrześcijaństwie za sprawą pogaństwa. Zmieniło się to jednak zdecydowanie za sprawą Karola Wielkiego. Bo to pod jego naciskiem, przy akceptacji ze strony duchowieństwa, przy pewnych jednak lokalnych sprzeciwach, liturgia rzymska zastąpiła liturgię galijską. A w przypadku tej drugiej

(także w innych liturgiach np. mozarabskiej) elementem mszy było wypowiadanie (wyczytywanie) imion zmarłych członków wspólnoty, poczynając od tych pełniących najważniejsze funkcje społeczne i kościelne. Wręcz podkreślano „solidarność żywych i umarłych: *universa fraternitas*. Prosząc jednocześnie o zdrowie ciała i duszy dla żywych i o spoczynek dla zmarłych” (Philippe Ariès *Człowiek i śmierć*). Msza rzymska przekreśliła ów związek. Czy szkoda? Szkoda. Akurat w tym przypadku w tłumie może tkwić siła zbawcza (najczęściej tak nie jest).

Brian Davies we *Wprowadzeniu do filozofii religii* przytacza taką oto wypowiedź Judy Machabeusza:

Jeżeli nie ma wskrzeszenia umarłych, to modlitwy za zmarłych są zbędne i daremne.

Ale wskrzeszenie to jedno, i może rzeczywiście jeśli nie ma na nie widoków, modlitwy są „zbędne i daremne”. Natomiast nie można wykluczyć tego, że modlitwy mogą mieć (mają) wpływ na sposób w jakim wiedzie się życie pozagrobowe. I czy to w postaci jaźni przyobleczonej w ciało, jak miało to miejsce przed śmiercią, czy też, jak wyobrażał to sobie np. Sokrates, wyłącznie jako duch/jaźń, to znaczy w formie bezcielesnej.

We wspomnianym początkowym okresie istnienia chrześcijaństwa i Kościoła, co jest znamienne i charakterystyczne, w wyobrażeniach dotyczących losu duszy po śmierci, nie był obecny Sąd Ostateczny. W rezultacie, nie było w ogóle mowy ani o potępieniu, ani o nagrodzie. Albowiem zmarli, „którzy należeli do Kościoła powierzyli mu swoje ciało (co oznaczało, że oddali je w opiekę świętym), zasypiają, jak siedmiu śpiących z Efezu (*pausantes, in somno pacis*) i spoczywają (*requiescant*) aż do dnia powtórnego przyjścia, wielkiego powrotu; w tym dniu mają się przebudzić w niebiańskiej Jerozolimie, czyli w Raju. W koncepcji tej nie było miejsca na odpowiedzialność jednostki, na obliczanie dobrych i złych uczynków. Dla złych ludzi – tych, którzy nie należeli do Kościoła – śmierć miała być zapewne ostatecznym kresem, nie mieli się już przebudzić: byli skazani na niebyt” (Philippe Ariès *Rozważania o historii śmierci*).

Od XII wieku wyobrażenia dotyczące losu duszy są już zdecydowanie inne: dominuje Sąd Ostateczny (i mające trwać tysiąclecie Królestwo Boże). A z nim wiąże się przedstawienie Chrystusa jako Sędziego, jak również ważenie dusz. Związane z tym drugim dobre i złe uczynki są rozdzielone i ułożone